

Wypisów nie zrobiono



skierowały przekazać
prof. Zofie Kierwik
- Zielińska
do T. 1597/WSK

dot. (ksero)

AK
W-waw

†
MICHAŁOWSKA Bronisława
zd. Strużyńska

2195/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — MICHAŁOWSKA

..... Broniowska

..... 2105/WSK

I/1. Relacja ✓ R. 1, s. 1.

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora —

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ K. 12, s. 16

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r.

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) ✓ K. 2, s. 2

III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — inne... —

IV. Korespondencja —

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓ 1

VI. Fotografie ✓

I/1. RELACJA

- Relacja Bronisławy Julii ze Strużyńskich Michałowskiej
(b.d.i. i podpisu). Msp. oryginal. M. 1, s. 1.



17/1/1

Bronisława Julia ze Strużyńskich Michałowska, c. Mariana.

Urodzona 1.IX.1892 w maj. Bilcza w pow. Sandomierskim. Szkołę średnią, pensję, ukończyła w Suchedniowie. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Polonista. W 1922 r. wyszła za mąż za Józefa Michałowskiego.

Przez przeszło 60 lat była pedagogiem szkół średnich. Rozpoczęła jako nauczyciel literatury polskiej pracę w 1916 r. w Piotrkowie Trybunalskim następnie w Radomiu (1916-1919), w Warszawie (1919-1924), Bydgoszczy (1924-1927) i ponownie w Warszawie od 1927 roku. Tu, przez przeszło 50 lat uczyła literatury polskiej w Gimnazjum (i Liceum) im. N. Żmichowskiej (ul. Mokotowska 61), w czasie wojny w tajnym nauczaniu, a po ustaniu działań wojennych, po rocznym pobycie w Sandomierzu (1944-45), początkowo w klasach żeńskich przy Gimn. i Lic. im. T. Reytana w Warszawie przy ul. Rakowieckiej 23, (gdzie dostała służbowy pokój mieszkalny), następnie po reaktywowaniu Gimn. i Liceum im. N. Żmichowskiej w gmachu Szkoły Ziemi Mazowieckiej, przy ul. Klonowej 14. Tu zamieszkała wraz z mężem, matką Bronisławą i synem Marianem.

Wysoko ceniony, doświadczony, sprawiedliwy ale wymagający, czasem nawet surowy nauczyciel i wychowawca trzech polskich pokoleń, (uczyła wnuczki swoich pierwszych uczennic z Piotrkowa). Działająca społecznie w organizacjach nauczycielskich i środowiskowych, m.in. w latach międzywojennych w Stowarzyszeniu Kobiet z Wyższym Wykształceniem.

Wcześniej, współdziałająca z polskim ruchem niepodległościowym, z najbliższym kręgiem Marszałka i Beliny-Prażmowskiego, członek P.O.W. z lat 1912-15, pracownica Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego w latach 1914-20, m.in w latach 1914-15 w Komendzie Uzuppełnień Legionów w Sandomierzu. W latach 1939-44 członek konspiracji ZWZ/AK, także nauczyciel konspiracyjnego szkolnictwa średniego w Warszawie.

Odznaczona dwukrotnie Orderem Polonia Restituta, Medalem Niepodległości i innymi. Zmarła po półrocznej, nieuleczalnej chorobie 19.XII. 1981 r. w Warszawie, w czasie "stanu wojennego". Pochowana w grobie rodzinnym Michałowskich na cywilnych Powązkach w Warszawie.

II MATERIAŁY UZUPEŁNIAJĄCE RELACJE:

- "2 pamiętniki Matki... - Tełst przepisany z rękopisu Bronisławy Michałowskiej pna jej syna. Msp. 5.81. Kserokopie dwie, jedna jednostronna, druga dwustronna. R. 12, s. 1-16.



Z pamiętnika Matki....

Gdy wywołuję z pamięci zdarzenia, jakie miały miejsce w Polsce w toku lat 1.IX.1939 - 8.V.1945 i chcę dać wyraz przeżyć i postawy przeciętnego Polaka, nie mogę pominąć - bo przecież jestem jedną z nich - osobistych wspomnień.

Myślę, że to, co się stało 1.IX. - choć przewidywane - było - pomimo nadziei, która zawiodła - gromem.

Uderzył w letnią porę, gdy tyle ludzi korzysta z zasłużonego pracą odpoczynku. I dla mnie - nauczycielki - były przed tym wakacje. Ostatnie prawdziwe i jakże dziś wymowne. A były po naprawdę wytężonej pracy i we własnej szkole, gdy uczestniczyłam w egzaminie maturalnym 30-u uczennic i w dwóch prywatnych, gdzie przewodniczyłam egzaminowi.

Pierwszy miesiąc tego wypoczynku to pobyt w Druskiennikach. Mam jeszcze w oczach, jeszcze do dzisiaj, fragmenty tamtejszego krajobrazu. Nad Niemnem piaszczysty skłon piaszczystego wzgórza ku żywo biegnącej wodzie. Przed domem dostojne lipy. I jakież spokój i doskonała ludzka przychyłność.

Byłam tam z mężem i 11-o letnim synem.

W Warszawie nad Wisłą mieszkający chłopiec, stwierdził po przejeździe łodzią po Niemnie, że woda w nim jest piękniejsza, głębsza niż w Wiśle i prędszej płynie.

Któregoś dnia pojechaliśmy do Grodna. Przy prastarych murach zamku opowiedziano, że tam właśnie przeziębził się, słuchając śpiewu słowików, Jagiełło, król znany chłopcu z Sienkiewiczowskiego i Matejki - obrazów bitwy pod Grunwaldem.

Kilkoma dniami bogatego we wrażenia pobytu w Wilnie, zakończyliśmy pierwszy miesiąc wakacji moich i syna. Mąż mój wrócił do Warszawy, my pojechaliśmy w Sandomierskie, na wieś, do moich braterstwa. Ale tak widać „było pisane”, że jeszcze nasz jedenastolatek teraz coś więcej z Polski zobaczy. Bo kiedy do nas przyjechał samochodem mój młodszy brat Jerzy i namawiał, by z nim do nich do Lwowa pojechać, pojechaliśmy. Przez Stalową Wolę, Leżajsk - do Lwowa.

To było około 20 sierpnia i zewnątrz nie działo się nic. 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich, w którym szwadronem zapasowym dowodził brat, powrócił z letnich manewrów jak zwykle. Oglądaliśmy na Persenkówce przygotowane do konkursów i wyścigów konie, pokazywaliśmy chłopcu pomniki, kościoły, zabytki Lwowa.

Pewnego dnia wieczorem Jerzy przyszedł z pułku z wiadomością o pakcie Ribbentrop - Mołotow. Stawało się niebezpiecznie. Postanowiliśmy by wracać, i następnego dnia wyjechaliśmy z synem pociągiem do Warszawy.

To był wstęp do następnych dni. Następnym dni i dalszych już srogich lat.

Przywitał nas mój mąż na dworcu w Warszawie wiadomością o mobilizacji.

W szkole, w Gimnazjum i Liceum im. N. Żmichowskiej, zebraliśmy się na zwykłe w tym terminie posiedzenie Rady Pedagogicznej w celu zapoznania się z okólnikami Kuratorium, projektami Dyrekcji, propozycjami co do układu pracy w nowym roku szkolnym. Inaczej przebiegało to zebranie. W gronie ludzi zżytych z sobą, życzliwych, przyjaznych, którzy się witali po dwumiesięcznym rozstaniu aby podjąć znów tę pracę tak ważną, tak istotną dla każdego z nas, tym razem zabrakło uśmiechu. Wiedzieliśmy już na pewno, że zawisła nad nami chmura czarna i ciężka. Odczuliśmy jeszcze wzmocnioną bliskość naszego zespołu wobec tego, co może grozić sprawie

ważnej, jednoczącej własną z ogólną; wiedzieliśmy, że staniemy przed bardzo trudnym zadaniem także w naszym zakresie. I nie możemy ulec.

Choć przecież nie mogliśmy przewidzieć, nawet wyobrazić sobie, że czeka nas taki zbiór nieludzkich poczynań wroga, wiedzieliśmy jedno: jakkolwiek przebiegać będą drogi tej nieuchronnej wojny, musimy być razem z naszą młodzieżą, stykać się z nią gdziekolwiek będzie można. Nie łudziliśmy się, że nasz lokal na IV i V piętrze czynszowej, narożnej i w tym punkcie stojącej kamienicy, będzie bezpieczny. Czy ocaleje?

Dyrektorka Szkoły, p. Maria Kiernikowa z pomocą sekretarki nawiązały kontakt z przewodniczącymi samorządów klasowych i zakomunikowały im, że w razie niemożności rozpoczęcia nauki na tym miejscu, informacji udzieli im nauczycielka francuskiego p. Maria Zysowa, mieszkająca przy ul. Hożej 28.

W ciągu września, miesiąca oblężenia Warszawy, nie było mowy o rozpoczęciu nauki. Jednakże łączność nie tylko z jednostkami ale grupami uczennic była nawiązana. Pracując w charakterze sanitariuszki w Szpitalu Ujazdowskim, spotkałam tam kilka dziewczynek, które pomagały pielęgniarkom, były łączniczkami z rodzicami pacjentów. Inne - o których wiedziałam, docierały do linii frontu, niosąc artykuły żywnościowe, papierosy, materiał opatrunkowy.

Gdy na lokal szkolny przy ul. Mokotowskiej 61 spadły, rujnując go i po części pałac, bomby, kilka dziewczynek pomagało nauczycielce fizyki, p. Antoninie Ptaszyckiej i sekretarce, p. Karbowskiej, jeszcze ocalić - niestety już żałosne resztki przyrządów i - nieco książek z biblioteki.

W pierwszych dnia października rozpoczęliśmy naukę w lokalu Szkoły im. Królowej Jadwigi w Alejach Ujazdowskich. Ale już w listopadzie - bodaj dobrze pamiętam - w dniu 11 tego miesiąca - przyszedł niemiecki rozkaz zamknięcia średnich szkół ogólnokształcących.

Wtedy rozpoczęło się „podziemne nauczanie”.

Dzisiaj - z odległości 37 lat - zbieram w pamięci te lokale, te szkoły, te mieszkania, gdzie uczyliśmy i te okazje, sposoby, podstępny umożliwiające osiągnięcie celów.

Nie wydaje mi tu potrzebnym akcentowanie pierwszego z nich: „nie mogą dzieci rosnać - kto wie jak długo” bez nauki. Były i inne praktyczne, dla jakiego takiego bezpieczeństwa dzieci. Starsze dziewczęta bez Ausweiss'u mogły być wywożone do Niemiec „na roboty”.

A wreszcie cel bardzo istotny i bardzo popularny nawet u bardzo nieletnich osób. Ileż razy słyszałam, gdy pochwaliłam dobrze przygotowaną lekcję: „uczę się teraz pilnie, na złość Niemcom”. Od starszych zaś: „wiem, że Niemcom zależy - wyraźnie to głoszą - żeby Polacy istnieli bez wykształcenia jako posłuszni wyrobownicy. Tylko tak istnieć mogą”. Już wtedy postawa naszej młodzieży była postawą kombatancką.

W ciągu lat wojny i okupacji Polski nasze uczennice osiągnęły 96 świadectw dojrzałości w wyniku pomyślnie zdanego egzaminu maturalnego. Jakże do tego doszło w Państwowej Szkole nr. 15 im. Narcyzy Żmichowskiej w Warszawie?

W porozumieniu z Kuratorem Teodorem Wojeńskim Dyrektorka szkoły uzyskała dla szeregu najmłodszych naszych uczennic miejsce w prywatnej szkole podstawowej pp. Roszkowskiej i Popielewskiej przy ul. Bagatela. Wpisane tam do listy klas VI i VII uczyły się z własnymi nauczycielkami materiału I i II klas gimnazjalnych.

11/3

Grupy starszych dziewcząt uczęszczały do różnych szkół zawodowych i na przygotowawcze do nich kursy (Bagatela 12). Obok - z daleka od oficjalnego programu - opanowywały tematy gimnazjalne. Działo się to też i w szkole przysposobienia w gospodarstwie rodzinnym (ul. Kazimierzowska).

Z początkiem r. szk. 1940\41, łącznie ze Szkołą im. Słowackiego, kontynuowano tę samą metodę w legalnych kursach przy ul. Smolnej. Okna tego lokalu miały na przeciwko Muzeum Narodowe. Tam, za parkanem, umieścili Niemcy pomnik Kilińskiego. Na ścianie Muzeum po którejś nocy, pojawiła się ogromnymi czarnymi literami napisana informacja: „Jam tu. ludu Warszawy, Kiliński Jan.” Bardzo trudno było wyperswadować dziewczynkom patrzenie przez okna w obawie możliwego zwrócenia na nie niepożądanego uwagi. One nie mogły zrezygnować z chłonięcia oczami wspaniałego widoku wyteżonej pracy kilku zielonych mundurów. Z jakim wysiłkiem - a bez rezultatu - starano się wymyć, oczyścić z napisu tę ścianę. Jednakże napis - nieco bledszy - pozostał. Trwał do końca pobytu w Warszawie takich mundurów. Tylko nasze kursy w następnym roku szkolnym już tu nie istniały. Istniały inne, gdzie indziej.

Przypominam sobie klasy korespondencji handlowej przy ul. Jasnej. Nie miałam pojęcia jak się pisze takie listy a przecież moja grupa, składająca się z kilkunastu uczennic, musiała mieć „na wszelki wypadek” wizytacji z Schulamtu wzory tekstów. Użyczyła mi ich jedna z pracujących tam osób, miałyśmy je w pogotowiu a tymczasem czytałyśmy w myśl własnego programu „Antygonę”, omawiałyśmy „Odprawę posłów greckich”.

W drugim roku wojny moja osoba nie mogła objąć swym czasem i siłą rosnącej liczby naszych uczennic i kandydatek na nie, przybyłych z Wielkopolski. Byli też nauczyciele stamtąd. Przybyła nam polonistka, Anna Brzozowska (córka Stanisława).

Wielką pomoc w prowadzeniu lekcji: większymi, stanowiącymi już i dwudziestoosobowe klasy licealne, okazała nam zawodowa szkoła bieliźniarska i fryzjerska przy ul. Żelaznej. Szkoła ta nosiła - jak nasza imię Narcyzy Żmichowskiej. Na pulpitych i przy maszynach do szycia rozłożone były skrojone materiały, w innych klasach peruki, żelazka do fryzowania i inne fryzjerskie przyrządy. Nauczycielki z tego zakresu często nam asystowały i zawsze czuwały aby w razie potrzeby nas zastąpić. A w bramie wiodącej do gmachu szkoły czuwała niezastąpiona nasza woźna, Maria Kowalczyk, z umówionym sposobem dania sygnału gdyby musiała otworzyć furtkę komuś, kto by jej „nie odpowiadał”. Ale to się nie zdarzyło; uczyliśmy tam przez dwa lata bez przeszkód kilkadziesiąt dziewcząt wszystkich przedmiotów.

W tych latach mieliśmy jednak znacznie więcej uczennic. Około 400! Rozbudowała się organizacja t.zw. „kompletów”. Podjęła tę trudną, zawikłaną wśród niespokojnego okupacyjnego życia, złej komunikacji i warunków codzienności, warunków mieszkań prywatnych i zależnych od otaczającego je środowiska, pracę Dyrektorka szkoły z pomocą p. Marii Zysowej, p. Heleny Filipowicz, sekretarki p. Rubach. Mieszkanie przy ul. Hożej 28 było punktem, w którym nauczyciele i młodzież mogli się porozumiewać, otrzymywali informacje o rozkładzie, planie, terenie lekcji, ugrupowaniu. Tu był centralny punkt łączności z rozrzuconymi po całym mieście, łącznie z Pragą, Żoliborzem, Mokotowem, kompletami. W tym mieszkaniu zbierały się niekiedy grupy dziewcząt na godziny wspólnej lektury - także i prasy podziemnej, na zaakcentowanie pamięci o ważnych rocznicach przez recytacje odnośnych wierszy czy prozy, czasem na „Herbatkę z atrakcjami”. Patronowała temu, mianowana przez Grono nauczycielskie Główną Wychowawczynią pani Maria Zysowa, przychodzili i

nauczyciele, których liczba w owych latach wzrosła. Mieszkanie to było więc bardzo często i licznie uczęszczane. Jednak uchroniło się od niepożądanego nim zainteresowania.

Wiem, że zawdzięcza to zainteresowaniu kogo innego. Niedaleko od nr. 28, na Hożej znajdował się komisariat granatowej policji. Środ naszych, jeszcze przedwojennych uczennic była córka Komisarza, p. Kruka. Ojciec znał nauczycieli szkoły, orientował się w ich roli i pracy. Dał dowody swej postawy, polecając swym podwładnym zwrócić uwagi na bezpieczeństwo w tym punkcie, niekiedy osobiście uprzedzając o przewidywanym przez niego niepokoju w okolicy. Mieszkanie to i jego użytkownicy przetrwali do września 1944 r. W czasie Powstania był tam punkt kontaktowy oddziałów żołnierskich z łączniczkami, sanitariuszkami i ich materiałem.

Podjęcie nauczania w kompletach nie czekało na dokładną ich organizację. Nie pamiętam żebyśmy zbiorowo, przewidując trudności pracy w szkolnictwie nawet bez tak jaskrawego, jak było niemieckie, posunięcia wiedzieli, że tylko taki kształt wypełniania wobec polskiej młodzieży (i .. siebie także) obowiązków, będzie naszym udziałem. Później przypomnieliśmy sobie, ludzie „rodem z Królestwa”, sposoby uczenia się i uczenia po polsku stosowane przez prywatne szkoły i przez rodziców do 1905 roku, do dnia zwycięskiego zrywu naszych polskich dzieci.

Pamiętam szary, listopadowy w 1939 r. ranek. Przyszliśmy - nauczyciele - przyszła młodzież do Szkoły im. Królowej Jadwigi. Polecono zebrać wszystkich w jednej z dużych sal. I tam zawiadomiono o nakazie przerwania nauki w szkołach średnich. Odpowiedzieliśmy na to milczeniem. Nie tylko my, dorośli. Milczała także młodzież. Zleciliśmy przejście do szatni. W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć ... Czy to było odpowiedzią na skierowane do mnie pytanie uczennicy, czy po prostu spontaniczna moja reakcja. Kilkunastu dziewczynkom, które stały przy mnie, podałam mój adres: Al. 3 Maja 2 m 16 - proszę ze mną albo za mną. Omówimy zapowiedziany na dziś temat. Pamiętam: „Uniwersytet Wileński - koledzy Mickiewicza”. I to była moja pierwsza godzina w „komplecie”. Wiem, że osób parę spośród grona, mieszkających niedaleko, także tak postąpiło.

A na Hożej 28 Dyrektorka podjęła pracę organizującą sprawę. Pomógł w niej postanowiony na ostatniej Sesji Rady Pedagogicznej kontakt z przewodniczącymi klas. Układały pomiędzy sobą zespoły po 6-8 osób, zgłaszały mieszkania dla grup, których nie mogły objąć kursy i szkoły zawodowe. Pracę w kompletach podjęła także inicjatorka, założycielka i wieloletnia wizytatorka szkoły naszej, pani Teodora Męczkowska, ucząc biologii.

Warunki lekcji w prywatnych mieszkaniach, rozrzuconych po całej Warszawie, z Żoliborzem i Pragą włącznie, nie były łatwe. Ówczesna komunikacja, położenie mieszkań w różnych środowiskach, sroga zima. Jednakże nie mogłyśmy narzekać na absencję uczennic i własną, choć trzeba było przerzucać się z miejsca lekcji na inne po 3-4 razy dziennie. Nie wszędzie, nie we wszystkich domach były potrzebne dla mnie - polonistki - teksty, podręczniki. Nie chcieliśmy aby nosiły je ze sobą dzieci. Zdarzały się na ulicy rewizje ich teczek, . Zdarzały się łapanki. Ale - a może nie pamiętam - to nie dotknęło żadnej z naszych dziewczynek. Jedna z nich, Ania Lewandowska, którą wywieziono do Majdanka, była zabrana z domu. Rozstrzelana, Oleńka Grzeszakówna,

schwytana była w pobliżu „akcji”. Tam nie wchodziły w grę książki, jednak, zwłaszcza książki związane z tematem Polski, mogły narazić na ciężki los.

Czsumi zapraszałam ten czy inny komplet do siebie, gdy miałam tego dnia kilka godzin w różnych miejscach ale nie często mogłam tak sobie ułatwić. Mieszkaliśmy w domu między mostem Poniatowskiego a elektrownią i gazownią na 7-ym piętrze. Na płaskim dachu stało niemieckie działko przeciwlotnicze. W jednym z pokoi ściana zastawiona pudełkami w jakich sprzedawano kiedyś nam obuwie. Był w nich trotyl, potrzebny memu mężowi do produkcji zapalników i granatów. Wolałam nie narażać młodzieży na takie sąsiedztwo. Więc wędrowałam - tak było trzeba.

Nie miałam nigdy przedtem lekcji „prywatnych”, uczyłam w klasach, zwłaszcza w pierwszych latach niepodległości, przeludnionych więc trudnych - choć możliwych i osiągalnych - trudnych dla zbliżeń nauczyciela z kilkunastoletnimi osobami. A w tych czasach, w tych warunkach, w ramach tragicznych wydarzeń, jakie dotyczyły wszystkich a nie dotyczyły tylko, lecz uderzały głęboko, można było osiągnąć to zbliżenie; odczuwało się, że jest.

Jeśli dzisiaj, po 32 latach rozłąki i braku stałego kontaktu od osób przebywających nie tylko w Europie ale Za Oceanem nawet usłyszy się czy odczyta słowa wspomnień o tamtych godzinach, to się nabiera przekonania, że te lekcje były godzinami porozumienia. Myślałam zawsze i myślę teraz, że w naszym nauczycielskim zawodzie to bardzo jest ważne.

Mówię, piszę o tym dlatego, że chcę zaakcentować klimat tego „podziemnego nauczania”. W tej nazwie wyraz nauczanie nie odpowiada klimatowi jaki pamiętam ja, jaki wspominają uczestniczki tych godzin poświęconych na przyjmowanie do swych umysłowych zasobów wartości, uznanych za istotne, prawdziwe, potrzebne. Chodziło tu może nie o wiedzę tylko, choć ponadczasową ale i o to, że godziny te mogły być sposobnością współżycia pełnego treści tak głębokiej jak nigdy i nigdzie dotychczas.

Te kilkunastoletnie dzioewczynki często przychodziły na lekcje nie bezpośrednio z domów rodzinnych. Łączniczki już przekazały pod wskazanym adresem ważną informację, polecenia. Rozniosły numery prasy. Często - sanitariuszki były po nocnym dyżurze przy rannych w akcji. Nie zapomnę dnia, w którym Danuta R. przybiegła płacząc: przy niej, na jej rękach, zmarł ranny w akcji „Rudy”. Myślę - choć tego nie wiem - że drobniutka (wtedy) Hala K.niosła w pakiecie, z którego wyjmowała, doręczając mi Biuletyn Informacyjny - cięższe przedmioty. Wiem, że przenosiły broń potrzebną do zamierzonej akcji. Nie informowały o tym - ale wystarczyło popatrzeć im w oczy ...

Nie jestem w stanie zrozumieć skąd te dzieci - przecież jeszcze dopiero patrzyliśmy na nie wyrastające z dzieciństwa - skąd borą i siłę fizyczną, tyle uwagi i odwagi aby pełnić służbę tajnych żołnierzy i podjąć pracy jeszcze umysłowej w szkole. Wiem o wielu z nich - maturzystek podziemnych - że potem ukończyły wyższe studia, pracują samodzielnie w szeregu zawodach na ważnych stanowiskach. Nie mogę pominąć i tych, choć starszych, które ukończyły szkołę jeszcze przed wojną ale przebyły więzienie na Pawiaku i lata w Oświęcimiu i w Ravensbruck. Śród nich Zośka Skurska, profesor Uniwersytetu we Wrocławiu, autorka poważnych prac naukowych. Widzę ją i jej koleżankę, Janinę Magnuską, gdy składały przysięgę AK - przy mnie, w moim mieszkaniu. Magnuska przebyła kilka miesięcy na Pawiaku i bezpośrednio po wyjściu stamtąd powróciła do rozpoczętej niedawno pracy nauczycielskiej w naszych kompletach. Maria Maniakówna przebyła kilka lat w Oświęcimiu. Pracuje naukowo i

społecznie. Oczywiście wymieniam tylko te, z którymi mam kontakt, wiem, że jest ich wiele - słyszę o wielu.

Wymieniona już podziemna uczennica, Halina Kalinowska, to dziś wykładowca w Warszawskim Uniwersytecie; Anna Lewandowska, gdy w 1945 r. opuściła Majdanek, studiowała w Poznaniu - jest lekarzem. Lekarzem-okulistą jest Danuta Cabała. I wiele, wiele innych. Trudno mi wymienić te, o których tylko słyszę - ileż z nich ma zmienione nazwiska - mężatki - matki już dorosłych dzieci.

Pisząc z uznaniem o tej młodzieży, która nie mniej ofiarna niż kiedyś jej rodzice a także - jeszcze dawniej - i dziadkowie, stanęła w szeregach ruchu oporu, w Szarych Szeregach, w „Parasolu”, w „Zośce”, muszę wymienić nazwiska i tych, o których wiem, że swą postawę przytłoczyły życiu, które pamiętam jeszcze na tyłu lekcjach w różnych mieszkaniach, różnych lokalach, różnych dzielnicach miasta.

Nie mogę sobie uprzytomnić warunków tej okoliczności gdy, idąc ulicą - na Lesznie - zobaczyłam, że w nadjeżdżającej ciężarówce niemieckiej, otwartej z tyłu, siedzi jakaś osoba, której oczy zwrócone ku mnie odczułam z przerażeniem. Poznałam Oleńkę Grzeszakówną. Sytuacja była jasna - wieziono ją, wiadomo ku czemu. Wiedzieliśmy o niej od osoby, która miała kontakt z dozorczynią na Pawiaku, słynną, bohaterską „Myszką”. Wiedzieliśmy, że na Pawiaku Oleńka była traktowana jeszcze bardziej niż wiele innych okrutnie. Ostatnio była niedostępna - w separacie. Nie znam dokładnie szczegółów gdy ją schwytano. Ale twarzy jej, tych oczu - nie zapomnę

O Hance Wajcownicównie z batalionu „Zośka”, odznaczonej Krzyżem Walecznych, poległej w pierwszym dniu Powstania, mogę powiedzieć więcej, bo w czasie wielu lekcji a właściwie przed lub po nich, przychodziła do mnie, sekretnie tłumacząc była lub przewidywaną nieobecność, koniecznością zawiezienia czegoś „do lasu”. Erika Tyszko - sanitariuszka w „Parasolu” często przychodziła po nocy spędzonej przy rannych czy chorych. Poległa w Powstaniu.

Sanitariuszkami były także poległe w Powstaniu: Irena Kołodziejska, odznaczona dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Zofia Kacperska, z „Zośki” odznaczona Krzyżem Walecznych, Barbara Zahorska, Janina Wojciechowska. Poległy też łączniczki AK: Barbara Lasocka, Zofia Skarzyńska, Halszka Wiśniewska.

Spośród „starego” pokolenia Żmichowianek i w innym terminie, z innych też powodów - zginęła w Ghetcie wybijająca się poetka, H. Łazowertówna. Miała zorganizowaną możliwość opuszczenia Ghetta - nie skorzystała.

Przedstawiona tu lista niewątpliwie nie jest pełna, nie całkowita. Nie mam możliwości sprawdzenia - rozbito się jakoś Stowarzyszenie byłych wychowanek. Dużo spośród nich mieszka nie tylko poza Warszawą ale i poza Polską, poza Europą,

Dokładniej mogę podać listę nauczycieli:

Religia: ks. Kunert, ks. Malinowski, ks. Żebrowski.

Język polski: Bronisława Michałowska, Anna Brzozowska.

Historia: Jadwiga Lechicka, Władysława Martynowicz, Irena Michałowska.

Geografia: Józefa Łysakiewicz, Maria Osipow.

Język francuski: Maria Zysowa, Durrowa, Sokołowska, Zaleska.

Język łaciński: Irena Kubissa.

Język niemiecki: Maria Urbańska.

Matematyka: Bronisław Bielecki, Grzegorz Jabłoński, Niedziółka, dyr. Maria Kiemikowa, Janina Magnuska.

Fizyka: Antonina Ptaszycka.

Chemia: Białkówna, Maria Osipow, Z. Ehrenfeuchtowa.

Biologia: Teodora Męczkowska, M. Rogalska, Zofia Kiernikówna.

Propedeutyka filozofii: Anna Brzozowska.

Rysunki: Wacława Lisowska (do czasu uwięzienia jej na Pawiaku, i wywiezienia do Ravensbruck), Zofia Gmelanka, Jadwiga Lewakowska.

Sekretariat: H. Karbowska, H. Rubach, Helena Filipowicz.

Na zakończenie: skrót opowiadania dwóch uczennic z angielskiego kompletu, który kończył liceum w końcu czerwca r.1944, opowiadania o przebiegu egzaminu maturalnego. U mnie, więc o pisemnym z jęz. polskiego. Miało to miejsce w moim mieszkaniu na Lesznie. Z Alei 3 Maja „usunęli” nas Niemcy, przydzielając lokal na terenie dawnego Ghetta. W tamtym pamiętam moją pierwszą lekcję w doraźnie zebranym komplecie - tu przebiegał egzamin podziemny ostatni.

Może nie najdokładniej wyrzył się w pamięci temat egzaminu - ale wszystkie trzy zaakcentowałyśmy jego klimat. Pisało się łatwo. Przewodnicząca, p. dyr. Kiernikowa po moim przejrzeniu tych prac, podpisała je. Dziewczynki rozbiegły się po sporym mieszkaniu. Wezwałam parę do innej pracy: zagotować wodę, zaparzyć herbatę - prawdziwą (przyslaną przez mego brata z Offlagu!). Twierdzą nasze ówczesne maturzystki, że był to od dawna nie kosztowany nektar. Zaśpiewały Gaudeamus. Pod oknami narożnej kamienicy chodził z powagą SS-mann czy żandarm. Nie usłyszał.

Po zakończeniu roku szkolnego pojechaliśmy z mężem i synem - już ówczesnym harcerzem, drużynowym z Szarych Szeregów - na wieś, znów w Sandomierskie. Dochodziły tam, zbliżały się odgłosy, huki armat. Przechodziły oddziały armii niemieckiej w odwrocie pod koniec lipca coraz liczniejsze. Mąż przyspieszył swój powrót do Warszawy. Nie orientowaliśmy się, że ze stacji niedaleko Sandomierza położonej wyjedzie już ostatnim pociągiem. Dojechał do Warszawy by pracować przez jedenaście dni przy produkcji granatów - i okrążony na ulicy - odbyć daleką podróż - przez Pruszków do Bremy, do obozu innej niż w Warszawie pracy.

My z synem znaleźliśmy się wkrótce na linii frontu. W odległości dwóch kilometrów od naszego domu wstrzymali swój odwrót Niemcy. Dochodziły spod Sandomierza coraz mocniejsze odgłosy walki, huk armat, wysadzenie mostów na Wiśle, walki o przyczółek sandomierski i w Baranowie.

U nas była już pozycja wojsk sowieckich. Gdy docierały do nas z sąsiedniej wsi, gdzie zatrzymali się Niemcy, nawet kule maszynowych karabinów, gdy oficerowie radzieccy ostrzegali, że głęboka piwnica, w której schroniliśmy się i my i pięćdziesiąt ludzi ze wsi, nie uchroni przed pociskami armat, wyszliśmy z niej jeszcze pod ochroną ustępującej nocy - kierując się w strony już przez armię radziecką zajęte. W rodzinnej mojej wsi, Bilczy, przyjęto nas - wędrujących piechotą - bardzo gościnnie. Ale powędrowaliśmy jeszcze dalej.

Zimą 1945 roku spędziliśmy w Sandomierzu. Syn uczył się w I klasie Liceum - ja natomiast pracowałam w Bibliotece im. Długosza, przyjmując i segregując książki zwożone z okolicznych dworów, które opuszczali nie z własnej woli dotychczasowi ich

11/8

właściciele. 8 maja z pobliskiej Domu Długosza katedralnej dzwonnicy rozległ się, rozdzwięczał, rozegrał tamtejszy Zygmunt, młodszy brat Zygmunta na Wawelu.

Pisane to było przez Matkę moją, Bronisławę Michałowską, nauczyciela języka polskiego w Gimnazjum i Liceum im. N. Żmichowskiej, w Warszawie, w 1976 roku. Czy było to gdzieś drukowane - nie wiem. Przepisałem z Jej rękopisu w styczniu 2000 roku. (M.M.).



Z pamiętnika Matki....

Gdy wywołuję z pamięci zdarzenia, jakie miały miejsce w Polsce w toku lat 1.IX.1939 - 8.V.1945 i chcę dać wyraz przeżyć i postawy przeciętnego Polaka, nie mogę pominąć - bo przecież jestem jedną z nich - osobistych wspomnień.

Myślę, że to, co się stało 1.IX. - choć przewidywane - było - pomimo nadziei, która zawiodła - gromem.

Uderzył w letnią porę, gdy tyle ludzi korzysta z zasłużonego pracą odpoczynku. I dla mnie - nauczycielki - były przed tym wakacje. Ostatnie prawdziwe i jakże dziś wymowne. A były po naprawdę wyczerpanej pracy i we własnej szkole, gdy uczestniczyłam w egzaminie maturalnym 30-u uczennic i w dwóch prywatnych, gdzie przewodniczyłam egzaminowi.

Pierwszy miesiąc tego wypoczynku to pobyt w Druskiennikach. Mam jeszcze w oczach, jeszcze do dzisiaj, fragmenty tamtejszego krajobrazu. Nad Niemnem piaszczysty skłon piaszczystego wzgórza ku żywo biegnącej wodzie. Przed domem dostojne lipy. I jakież spokój i doskonała ludzka przychylność.

Byłam tam z mężem i 11-o letnim synem.

W Warszawie nad Wisłą mieszkający chłopiec, stwierdził po przejeździe łodzią po Niemnie, że woda w nim jest piękniejsza, głębsza niż w Wiśle i prędzej płynie.

Któregoś dnia pojechaliśmy do Grodna. Przy prastarych murach zamku opowiedziano, że tam właśnie przeziębził się, słuchając śpiewu słowików, Jagiełło, król znany chłopcu z Sienkiewiczowskiego i Matejki - obrazów bitwy pod Grunwaldem.

Kilkoma dniami bogatego we wrażenia pobytu w Wilnie, zakończyliśmy pierwszy miesiąc wakacji moich i syna. Mąż mój wrócił do Warszawy, my pojechaliśmy w Sandomierskie, na wieś, do moich braterstwa. Ale tak widać „było pisane”, że jeszcze nasz jedenastolatek teraz coś więcej z Polski zobaczy. Bo kiedy do nas przyjechał samochodem mój młodszy brat Jerzy i namawiał, by z nim do nich do Lwowa pojechać, pojechaliśmy. Przez Stalową Wolę, Leżajsk - do Lwowa.

To było około 20 sierpnia i zewnątrz nie działo się nic. 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich, w którym szwadronem zapasowym dowodził brat, powrócił z letnich manewrów jak zwykle. Oglądaliśmy na Persenkówce przygotowane do konkursów i wyścigów konie, pokazywaliśmy chłopcu pomniki, kościoły, zabytki Lwowa.

Pewnego dnia wieczorem Jerzy przyszedł z pułku z wiadomością o pakcie Ribbentrop - Mołotow. Stawało się niebezpiecznie. Postanowiliśmy by wracać, i następnego dnia wyjechaliśmy z synem pociągiem do Warszawy.

To był wstęp do następnych dni. Następnym dni i dalszych już srogich lat.

Przywitał nas mój mąż na dworcu w Warszawie wiadomością o mobilizacji.

W szkole, w Gimnazjum i Liceum im. N. Żmichowskiej, zebraliśmy się na zwykłe w tym terminie posiedzenie Rady Pedagogicznej w celu zapoznania się z okólnikami Kuratorium, projektami Dyrekcji, propozycjami co do układu pracy w nowym roku szkolnym. Inaczej przebiegało to zebranie. W gronie ludzi żytych z sobą, życzliwych, przyjaznych, którzy się witali po dwumiesięcznym rozstaniu aby podjąć znów tę pracę tak ważną, tak istotną dla każdego z nas, tym razem zabrakło uśmiechu. Wiedzieliśmy już na pewno, że zawisła nad nami chmura czarna i ciężka. Odczuliśmy jeszcze wzmocnioną bliskość naszego zespołu wobec tego, co może grozić sprawie

11/10

ważnej, jednoczącej własną z ogólną; wiedzieliśmy, że staniemy przed bardzo trudnym zadaniem także w naszym zakresie. I nie możemy ulec.

Choć przecież nie mogliśmy przewidzieć, nawet wyobrazić sobie, że czeka nas taki zbiór nieludzkich poczynań wroga, wiedzieliśmy jedno: jakkolwiek przebiegać będą drogi tej nieuchronnej wojny, musimy być razem z naszą młodzieżą, stykać się z nią gdziekolwiek będzie można. Nie łudziliśmy się, że nasz lokal na IV i V piętrze czynszowej, narożnej i w tym punkcie stojącej kamienicy, będzie bezpieczny. Czy ocaleje?

Dyrektorka Szkoły, p. Maria Kiernikowa z pomocą sekretarki nawiązały kontakt z przewodniczącymi samorządów klasowych i zakomunikowały im, że w razie niemożności rozpoczęcia nauki na tym miejscu, informacji udzieli im nauczycielka francuskiego p. Maria Zysowa, mieszkająca przy ul. Hożej 28.

W ciągu września, miesiąca oblężenia Warszawy, nie było mowy o rozpoczęciu nauki. Jednakże łączność nie tylko z jednostkami ale grupami uczennic była nawiązana. Pracując w charakterze sanitariuszki w Szpitalu Ujazdowskim, spotkałam tam kilka dziewczynek, które pomagały pielęgniarkom, były łączniczkami z rodzicami pacjentów. Inne - o których wiedziałam, docierały do linii frontu, niosąc artykuły żywnościowe, papierosy, materiał opatrunkowy.

Gdy na lokal szkolny przy ul. Mokotowskiej 61 spadły, rujnując go i po części pałac, bomby, kilka dziewczynek pomagało nauczycielce fizyki, p. Antoninie Ptaszyckiej i sekretarce, p. Karbowskiej, jeszcze ocalić - niestety już żałosne resztki przyrządów i - nieco książek z biblioteki.

W pierwszych dniach października rozpoczęliśmy naukę w lokalu Szkoły im. Królowej Jadwigi w Alejach Ujazdowskich. Ale już w listopadzie - bodaj dobrze pamiętam - w dniu 11 tego miesiąca - przyszedł niemiecki rozkaz zamknięcia średnich szkół ogólnokształcących.

Wtedy rozpoczęło się „podziemne nauczanie”.

Dzisiaj - z odległości 37 lat - zbieram w pamięci te lokale, te szkoły, te mieszkania, gdzie uczyliśmy i te okazje, sposoby, podstępny umożliwiające osiągnięcie celów.

Nie wydaje mi tu potrzebnym akcentowanie pierwszego z nich: „nie mogą dzieci rosnać - kto wie jak długo” bez nauki. Były i inne praktyczne, dla jakiego takiego bezpieczeństwa dzieci. Starsze dziewczęta bez Ausweiss'u mogły być wywożone do Niemiec „na roboty”.

A wreszcie cel bardzo istotny i bardzo popularny nawet u bardzo nieletnich osób. Ileż razy słyszałam, gdy pochwaliłam dobrze przygotowaną lekcję: „uczę się teraz pilniej, na złość Niemcom”. Od starszych zaś: „wiem, że Niemcom zależy - wyraźnie to głoszą - żeby Polacy istnieli bez wykształcenia jako posłuszni wyrobownicy. Tylko tak istnieć mogą”. Już wtedy postawa naszej młodzieży była postawą kombatantką.

W ciągu lat wojny i okupacji Polski nasze uczennice osiągnęły 96 świadectw dojrzałości w wyniku pomyślnie zdanego egzaminu maturalnego. Jakże do tego doszło w Państwowej Szkole nr. 15 im. Narczyży Żmichowskiej w Warszawie?

W porozumieniu z Kuratorem Teodorem Wojeńskim Dyrektorka szkoły uzyskała dla szeregu najmłodszych naszych uczennic miejsce w prywatnej szkole podstawowej pp. Roszkowskiej i Popielewskiej przy ul. Bagatela. Wpisane tam do listy klas VI i VII uczyły się z własnymi nauczycielkami materiału I i II klas gimnazjalnych.

Grupy starszych dziewcząt uczęszczały do różnych szkół zawodowych i na przygotowawcze do nich kursy (Bagatela 12). Obok - z daleka od oficjalnego programu - opanowywały tematy gimnazjalne. Działo się to też i w szkole przysposobienia w gospodarstwie rodzinnym (ul. Kazimierzowska).

Z początkiem r. szk. 1940\41, łącznie ze Szkołą im. Słowackiego, kontynuowano tę samą metodę w legalnych kursach przy ul. Smolnej. Okna tego lokalu miały na przeciwko Muzeum Narodowe. Tam, za parkanem, umieścili Niemcy pomnik Kilińskiego. Na ścianie Muzeum po którejś nocy, pojawiła się ogromnymi czarnymi literami napisana informacja: „Jam tu. ludu Warszawy, Kiliński Jan.” Bardzo trudno było wyperswadować dziewczynkom patrzenie przez okna w obawie możliwego zwrócenia na nie niepożądaney uwagi. One nie mogły zrezygnować z chłonięcia oczami wspaniałego widoku wytężonej pracy kilku zielonych mundurów. Z jakim wysiłkiem - a bez rezultatu - starano się wymyć, oczyścić z napisu tę ścianę. Jednakże napis - nieco bledszy - pozostał. Trwał do końca pobytu w Warszawie takich mundurów. Tylko nasze kursy w następnym roku szkolnym już tu nie istniały. Istniały inne, gdzie indziej.

Przypominam sobie klasy korespondencji handlowej przy ul. Jasnej. Nie miałam pojęcia jak się pisze takie listy a przecież moja grupa, składająca się z kilkunastu uczennic, musiała mieć „na wszelki wypadek” wizytacji z Schulamtu wzory tekstów. Użyczyła mi ich jedna z pracujących tam osób, miałyśmy je w pogotowiu a tymczasem czytałyśmy w myśl własnego programu „Antygonę”, omawiałyśmy „Odprawę posłów greckich”.

W drugim roku wojny moja osoba nie mogła objąć swym czasem i siłą rosnącej liczby naszych uczennic i kandydatek na nie, przybyłych z Wielkopolski. Byli też nauczyciele stamtąd. Przybyła nam polonistka, Anna Brzozowska (córka Stanisława).

Wielką pomoc w prowadzeniu lekcji: większymi, stanowiącymi już i dwudziestoosobowe klasy licealne, okazała nam zawodowa szkoła bielizniarska i fryzjerska przy ul. Żelaznej. Szkoła ta nosiła - jak nasza imię Narcyzy Żmichowskiej. Na pulpitach i przy maszynach do szycia rozłożone były skrojone materiały, w innych klasach peruki, żelazka do fryzowania i inne fryzjerskie przyrządy. Nauczycielki z tego zakresu często nam asystowały i zawsze czuwały aby w razie potrzeby nas zastąpić. A w bramie wiodącej do gmachu szkoły czuwała niezastąpiona nasza woźna, Maria Kowalczyk, z umówionym sposobem dania sygnału gdyby musiała otworzyć furtkę komuś, kto by jej „nie odpowiadał”. Ale to się nie zdarzyło; uczyliśmy tam przez dwa lata bez przeszkód kilkadziesiąt dziewcząt wszystkich przedmiotów.

W tych latach mieliśmy jednak znacznie więcej uczennic. Około 400! Rozbudowała się organizacja t.zw. „kompletów”. Podjęta tę trudną, zawikłaną śród niespokojnego okupacyjnego życia, złej komunikacji i warunków codzienności, warunków mieszkań prywatnych i zależnych od otaczającego je środowiska, pracę Dyrektorka szkoły z pomocą p. Marii Zysowej, p. Heleny Filipowicz, skretarki p. Rubach. Mieszkanie przy ul. Hożej 28 było punktem, w którym nauczyciele i młodzież mogli się porozumiewać, otrzymywali informacje o rozkładzie, planie, terenie lekcji, ugrupowaniu. Tu był centralny punkt łączności z rozrzuconymi po całym mieście, łącznie z Pragą, Żoliborzem, Mokotowem, kompletami. W tym mieszkaniu zbierały się niekiedy grupy dziewcząt na godziny wspólnej lektury - także i prasy podziemnej, na zaakcentownie pamięci o ważnych rocznicach przez recytacje odnośnych wierszy czy prozy, czasem na „Herbatkę z atrakcjami”. Patronowała temu, mianowana przez Grono nauczycielskie Główną Wychowawczynią pani Maria Zysowa, przychodzili i

11/12

nauczyciele, których liczba w owych latach wzrosła. Mieszkanie to było więc bardzo często i licznie uczęszczane. Jednak uchroniło się od niepożądanego nim zainteresowania.

Wiem, że zawdzięcza to zainteresowaniu kogo innego. Niedaleko od nr. 28, na Hożej znajdował się komisariat granatowej policji. Środ naszych, jeszcze przedwojennych uczennic była córka Komisarza, p. Kruka. Ojciec znał nauczycieli szkoły, orientował się w ich roli i pracy. Dał dowody swej postawy, polecając swym podwładnym zwrócić uwagi na bezpieczeństwo w tym punkcie, niekiedy osobiście uprzedzając o przewidywanym przez niego niepokojem w okolicy. Mieszkanie to i jego użytkownicy przetrwali do września 1944 r. W czasie Powstania był tam punkt kontaktowy oddziałów żołnierskich z łączniczkami, sanitariuszkami i ich materiałem.

Podjęcie nauczania w kompletach nie czekało na dokładną ich organizację. Nie pamiętam żebyśmy zbiorowo, przewidując trudności pracy w szkolnictwie nawet bez tak jaskrawego, jak było niemieckie, posunięcia wiedzieli, że tylko taki kształt wypełniania wobec polskiej młodzieży (i .. siebie także) obowiązków, będzie naszym udziałem. Później przypomnieliśmy sobie, ludzie „rodem z Królestwa”, sposoby uczenia się i uczenia po polsku stosowane przez prywatne szkoły i przez rodziców do 1905 roku, do dnia zwycięskiego zrywu naszych polskich dzieci.

Pamiętam szary, listopadowy w 1939 r. ranek. Przyszliśmy - nauczyciele - przyszła młodzież do Szkoły im. Królowej Jadwigi. Polecono zebrać wszystkich w jednej z dużych sal. I tam zawiadomiono o nakazie przerwania nauki w szkołach średnich. Odpowiedzieliśmy na to milczeniem. Nie tylko my, dorośli. Milczała także młodzież. Zleciliśmy przejście do szatni. W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć ... Czy to było odpowiedzią na skierowane do mnie pytanie uczennicy, czy po prostu spontaniczna moja reakcja. Kilkunastu dziewczynkom, które stały przy mnie, podałam mój adres: Al. 3 Maja 2 m 16 - proszę ze mną albo za mną, Omówimy zapowiadany na dziś temat. Pamiętam: „Uniwersytet Wileński - koledzy Mickiewicza”. I to była moja pierwsza godzina w „komplecie”. Wiem, że osób parę spośród grona, mieszkających niedaleko, także tak postąpiło.

A na Hożej 28 Dyrektorka podjęła pracę organizującą sprawę. Pomógł w niej postanowiony na ostatniej Sesji Rady Pedagogicznej kontakt z przewodniczącymi klas. Układały pomiędzy sobą zespoły po 6-8 osób, zgłaszały mieszkania dla grup, których nie mogły objąć kursy i szkoły zawodowe. Pracę w kompletach podjęła także inicjator, założycielka i wieloletnia wizytorka szkoły naszej, pani Teodora Męczkowska, ucząc biologii.

Warunki lekcji w prywatnych mieszkaniach, rozrzuconych po całej Warszawie, z Żoliborzem i Pragą włącznie, nie były łatwe. Ówczesna komunikacja, położenie mieszkań w różnych środowiskach, sroga zima. Jednakże nie mogłyśmy narzekać na absencję uczennic i własną, choć trzeba było przerywać się z miejsca lekcji na inne po 3-4 razy dziennie. Nie wszędzie, nie we wszystkich domach były potrzebne dla mnie - polonistki - teksty, podręczniki. Nie chcieliśmy aby nosiły je ze sobą dzieci. Zdarzały się na ulicy rewizje ich teczek, .. Zdarzały się łapanie. Ale - a może nie pamiętam - to nie dotknęło żadnej z naszych dziewczynek. Jedną z nich, Ania Lewandowska, którą wywieziono do Majdanka, była zabrana z domu. Rozstrzelana, Oleńka Grzeszakówna,

schwytna była w pobliżu „akcji”. Tam nie wchodziły w grę książki, jednak, zwłaszcza książki związane z tematem Polski, mogły narazić na ciężki los.

Czasami zapraszałam ten czy inny komplet do siebie, gdy miałam tego dnia kilka godzin w różnych miejscach ale nie często mogłam tak sobie ułatwić. Mieszkaliśmy w domu między mostem Poniatowskiego a elektrownią i gazownią na 7-ym piętrze. Na płaskim dachu stało niemieckie działko przeciwlotnicze. W jednym z pokoi ściana zastawiona pudełkami w jakich sprzedawano kiedyś nam obuwie. Był w nich trotyl, potrzebny memu mężowi do produkcji zapalników i granatów. Wołałam nie narażać młodzieży na takie sąsiedztwo. Więc wędrowałam - tak było trzeba.

Nie miałam nigdy przedtem lekcji „prywatnych”, uczyłam w klasach, zwłaszcza w pierwszych latach niepodległości, przeludnionych więc trudnych - choć możliwych i osiąganym - trudnych dla zbliżeń nauczyciela z kilkunastoletnimi osobami. A w tych czasach, w tych warunkach, w ramach tragicznych wydarzeń, jakie dotyczyły wszystkich a nie dotyczyły tylko, lecz uderzały głęboko, można było osiągnąć to zbliżenie; odczuwało się, że jest.

Jeśli dzisiaj, po 32 latach rozłąki i braku stałego kontaktu od osób przebywających nie tylko w Europie ale Za Oceanem nawet usłyszy się czy odczyta słowa wspomnień o tamtych godzinach, to się nabiera przekonania, że te lekcje były godzinami porozumienia. Myślałam zawsze i myślę teraz, że w naszym nauczycielskim zawodzie to bardzo jest ważne.

Mówię, piszę o tym dlatego, że chcę zaakcentować klimat tego „podziemnego nauczania”. W tej nazwie wyraz nauczanie nie odpowiada klimatowi jaki pamiętam ja, jaki wspominają uczestniczki tych godzin poświęconych na przyjmowanie do swych umysłowych zasobów wartości, uznanych za istotne, prawdziwe, potrzebne. Chodziło tu może nie o wiedzę tylko, choć ponadczasową ale i o to, że godziny te mogły być sposobnością współżycia pełnego treści tak głębokiej jak nigdy i nigdzie dotychczas.

Te kilkunastoletnie dzioewczynki często przychodziły na lekcje nie bezpośrednio z domów rodzinnych. Łączniczki już przekazały pod wskazanym adresem ważną informację, polecenia. Rozniosły numery prasy. Często - sanitariuszki były po nocnym dyżurze przy rannych w akcji. Nie zapomnę dnia, w którym Danuta R. przybiegła płacząc: przy niej, na jej rękach, zmarł ranny w akcji „Rudy”. Myślę - choć tego nie wiem - że drobniutka (wtedy) Hala K. niosła w pakiecie, z którego wyjmowała, doręczając mi Biuletyn Informacyjny - cięższe przedmioty. Wiem, że przenosiły broń potrzebną do zamierzonej akcji. Nie informowały o tym - ale wystarczyło popatrzeć im w oczy ...

Nie jestem w stanie zrozumieć skąd te dzieci - przecież jeszcze dopiero patrzyliśmy na nie wyrastające z dzieciństwa - skąd borą i siłę fizyczną, tyle uwagi i odwagi aby pełnić służbę tajnych żołnierzy i podjąć pracy jeszcze umysłowej w szkole. Wiem o wielu z nich - maturzystek podziemnych - że potem ukończyły wyższe studia, pracują samodzielnie w szeregu zawodach na ważnych stanowiskach. Nie mogę pominąć i tych, choć starszych, które ukończyły szkołę jeszcze przed wojną ale przeżyły więzienie na Pawiaku i lata w Oświęcimiu i w Ravensbruck. Śród nich Zośka Skurska, profesor Uniwersytetu we Wrocławiu, autorka poważnych prac naukowych. Widzę ją i jej koleżankę, Janinę Magnuską, gdy składały przysięgę AK - przy mnie, w moim mieszkaniu. Magnuska przebyła kilka miesięcy na Pawiaku i bezpośrednio po wyjściu stamtąd powróciła do rozpoczętej niedawno pracy nauczycielskiej w naszych kompletach. Maria Maniakówna przebyła kilka lat w Oświęcimiu. Pracuje naukowo i

11 | 14

społecznie. Oczywiście wymieniam tylko te, z którymi mam kontakt, wiem, że jest ich wiele - słyszę o wielu.

Wymieniona już podziemna uczennica, Halina Kalinowska, to dziś wykładowca w Warszawskim Uniwersytecie; Anna Lewandowska, gdy w 1945 r. opuściła Majdanek, studiowała w Poznaniu - jest lekarzem. Lekarzem-okulistą jest Danuta Cabała. I wiele, wiele innych. Trudno mi wymienić te, o których tylko słyszę - ileż z nich ma zmienione nazwiska - mężatki - matki już dorosłych dzieci.

Pisząc z uznaniem o tej młodzieży, która nie mniej ofiarna niż kiedyś jej rodzice a także - jeszcze dawniej - i dziadkowie, stanęła w szeregach ruchu oporu, w Szarych Szeregach, w „Parasolu”, w „Zośce”, muszę wymienić nazwiska i tych, o których wiem, że swą postawę przypłaciły życiem, które pamiętam jeszcze na tyłu lekcjach w różnych mieszkaniach, różnych lokalach, różnych dzielnicach miasta.

Nie mogę sobie uprzytomnić warunków tej okoliczności gdy, idąc ulicą - na Lesznie - zobaczyłam, że w nadjeżdżającej ciężarówce niemieckiej, otwartej z tyłu, siedzi jakaś osoba, której oczy zwrócone ku mnie odczułam z przerażeniem. Poznałam Oleńkę Grzeszakówną. Sytuacja była jasna - wieziono ją, wiadomo ku czemu. Wiedzieliśmy o niej od osoby, która miała kontakt z dozorczynią na Pawiaku, słynną, bohaterską „Myszką”. Wiedzieliśmy, że na Pawiaku Oleńka była traktowana jeszcze bardziej niż wiele innych okrutnie. Ostatnio była niedostępna - w separacie. Nie znam dokładnie szczegółów gdy ją schwytano. Ale twarzy jej, tych oczu - nie zapomnę

O Hance Wajcownicównie z batalionu „Zośka”, odznaczonej Krzyżem Walecznych, poległej w pierwszym dniu Powstania, mogę powiedzieć więcej, bo w czasie wielu lekcji a właściwie przed lub po nich, przychodziła do mnie, sekretnie tłumacząc była lub przewidywaną nieobecność, koniecznością zawiezienia czegoś „do lasu”. Erika Tyszko - sanitariuszka w „Parasolu” często przychodziła po nocy spędzonej przy rannych czy chorych. Poległa w Powstaniu.

Sanitariuszkami były także poległe w Powstaniu: Irena Kołodziejska, odznaczona dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Zofia Kacperska, z „Zośki” odznaczona Krzyżem Walecznych, Barbara Zahorska, Janina Wojciechowska. Poległy też łączniczki AK: Barbara Łasocka, Zofia Skarzyńska, Halszka Wiśniewska.

Spośród „starego” pokolenia Żmichowianek i w innym terminie, z innych też powodów - zginęła w Ghetcie wybijająca się poetka, H. Łazowertówna. Miała zorganizowaną możliwość opuszczenia Ghetta - nie skorzystała.

Przedstawiona tu lista niewątpliwie nie jest pełna, nie całkowita. Nie mam możliwości sprawdzenia - rozbiło się jakoś Stowarzyszenie byłych wychowanek. Dużo spośród nich mieszka nie tylko poza Warszawą ale i poza Polską, poza Europą.

Dokładniej mogę podać listę nauczycieli:

Religia: ks. Kunert, ks. Malinowski, ks. Żebrowski.

Język polski: Bronisława Michałowska, Anna Brzozowska.

Historia: Jadwiga Lechicka, Władysława Martynowicz, Irena Michałowska.

Geografia: Józefa Łysakiewicz, Maria Osipow.

Język francuski: Maria Zysowa, Durrowa, Sokołowska, Zaleska.

Język łaciński: Irena Kubissa.

Język niemiecki: Maria Urbańska.

Matematyka: Bronisław Bielecki, Grzegorz Jabłoński, Niedziółka, dyr.

Maria Kiemikowa, Janina Magnuska.

Fizyka: Antonina Ptaszycka.

11/15

Chemia: Białkówna, Maria Osipow, Z. Ehrenfeuchtowa.
Biologia: Teodora Męczkowska, M. Rogalska, Zofia Kiernikówna.
Propedeutyka filozofii: Anna Brzozowska.
Rysunki: Wacława Lisowska (do czasu uwięzienia jej na Pawiaku, i
wywiezienia do Ravensbruck), Zofia Grmelanka, Jadwiga
Lewakowska.
Sekretariat: H. Karbowska, H. Rubach, Helena Filipowicz.

Na zakończenie: skrót opowiadania dwóch uczennic z angielskiego kompletu, który kończył liceum w końcu czerwca r.1944, opowiadania o przebiegu egzaminu maturalnego. U mnie, więc o pisemnym z jęz. polskiego. Miało to miejsce w moim mieszkaniu na Lesznie. Z Alei 3 Maja „usunęli” nas Niemcy, przydzielając lokal na terenie dawnego Ghetta. W tamtym pamiętam moją pierwszą lekcję w doraźnie zebranym komplecie - tu przebiegał egzamin podziemny ostatni.

Może nie najdokładniej wyrył się w pamięci temat egzaminu - ale wszystkie trzy zaakcentowałyśmy jego klimat. Pisało się łatwo. Przewodnicząca, p. dyr. Kiernikowa po moim przejrzaniu tych prac, podpisała je. Dziewczynki rozbiegły się po sporym mieszkaniu. Wezwałam parę do innej pracy: zagotować wodę, zaparzyć herbatę - prawdziwą (przysłaną przez mego brata z Offlagu!). Twierdzą nasze ówczesne maturzystki, że był to od dawna nie kosztowany nektar. Zaśpiewały Gaudeamus. Pod oknami narożnej kamienicy chodził z powagą SS-mann czy żandarm. Nie usłyszał.

Po zakończeniu roku szkolnego pojechaliśmy z mężem i synem - już ówczesnym harcerzem, drużynowym z Szarych Szeregów - na wieś, znów w Sandomierskie. Dochodziły tam, zbliżały się odgłosy, huki armat. Przechodziły oddziały armii niemieckiej w odwrocie pod koniec lipca coraz liczniejsze. Mąż przyspieszył swój powrót do Warszawy. Nie orientowaliśmy się, że ze stacji niedaleko Sandomierza położonej wyjedzie już ostanim pociągiem. Dojechał do Warszawy by pracować przez jeden dzień przy produkcji granatów - i okrążony na ulicy - odbyć daleką podróż - przez Pruszków do Bremy, do obozu innej niż w Warszawie pracy.

My z synem znaleźliśmy się wkrótce na linii frontu. W odległości dwóch kilometrów od naszego domu wstrzymali swój odwrót Niemcy. Dochodziły spod Sandomierza coraz mocniejsze odgłosy walki, huk armat, wysadzenie mostów na Wiśle, walki o przyczółek sandomierski i w Baranowie.

U nas była już pozycja wojsk sowieckich. Gdy docierały do nas z sąsiedniej wsi, gdzie zatrzymali się Niemcy, nawet kule maszynowych karabinów, gdy oficerowie radzieccy ostrzegali, że głęboka piwnica, w której schroniliśmy się i my i pięćdziesiąt ludzi ze wsi, nie uchroni przed pociskami armat, wyszliśmy z niej jeszcze pod ochroną ustępującej nocy - kierując się w strony już przez armię radziecką zajęte. W rodzinnej mojej wsi, Bilczy, przyjęto nas - wędrujących piechotą - bardzo gościnnie. Ale powędrowaliśmy jeszcze dalej.

Zimą 1945 roku spędziliśmy w Sandomierzu. Syn uczył się w I klasie Liceum - ja natomiast pracowałam w Bibliotece im. Długosza, przyjmując i segregując książki zwożone z okolicznych dworów, które opuszczali nie z własnej woli dotychczasowi ich

1/16

właściciele. 8 maja z pobliskiej Domu Długosza katedralnej dzwonnicy rozległ się, rozdźwięczał, rozegrał tamtejszy Zygmunt, młodszy brat Zygmunta na Wawelu.

Pisane to było przez Matkę moją, Bronisławę Michałowską, nauczyciela języka polskiego w Gimnazjum i Liceum im. N. Żmichowskiej, w Warszawie, w 1976 roku. Czy było to gdzieś drukowane - nie wiem. Przepisałem z Jej rękopisu w styczniu 2000 roku. (M.M.).

M. Michałowska



- III | 3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945)
- kserokopia okładki (str. tytułowej) książki Haliny Zakneuskiej "Beda" - "Niepodległość będzie naszą nagrodą" PWN, 4-42 1946
 - oraz "schemat organizacyjny" Biura Studiów Historycznych przy KG AK. K. 2, s. 1-2.



**W KONSPIRACJI
1939 - 1945**



HALINA ZAKRZEWSKA "BEDA"
**NIEPODLEGŁOŚĆ
BĘDZIE TWOJA
NAGRODA** ...

WYDAWNICTWO NAUKOWE PWN - WARSZAWA 1994

J. 2105/WSK

AK
Warszawa

++

MICHAŁOWSKA Bronista
2 d. Strużyńska

1. Nazwiskowe karty informacyjne: 1



i

J. 2105/WSK

AK
Warszawa

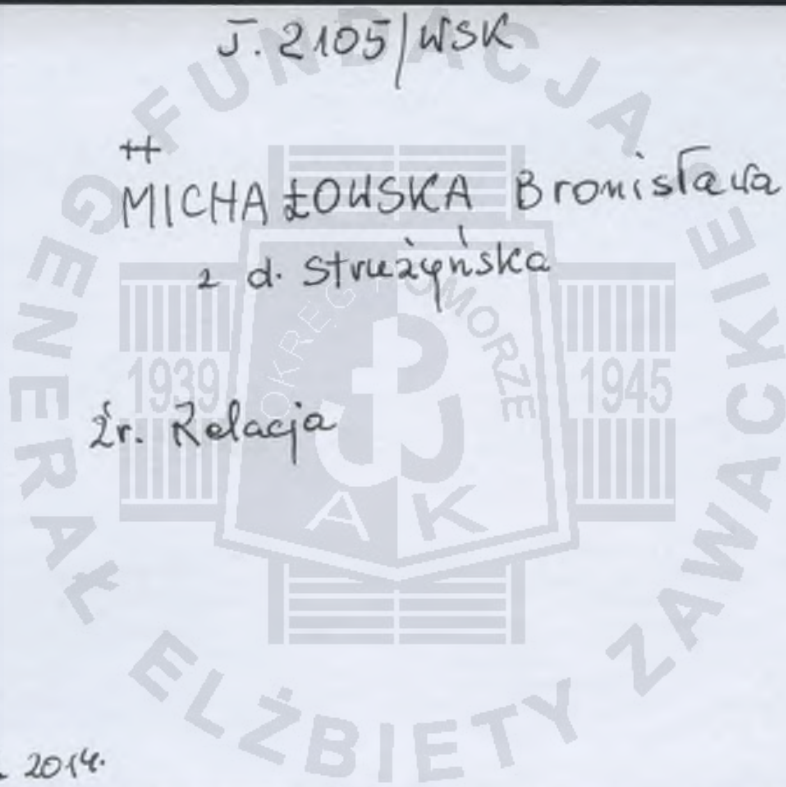
††

MICHAŁOWSKA Bronisława

z d. Strużyńska

Źr. Relacja

B. Rojek 2014.



T. 2105/WSK

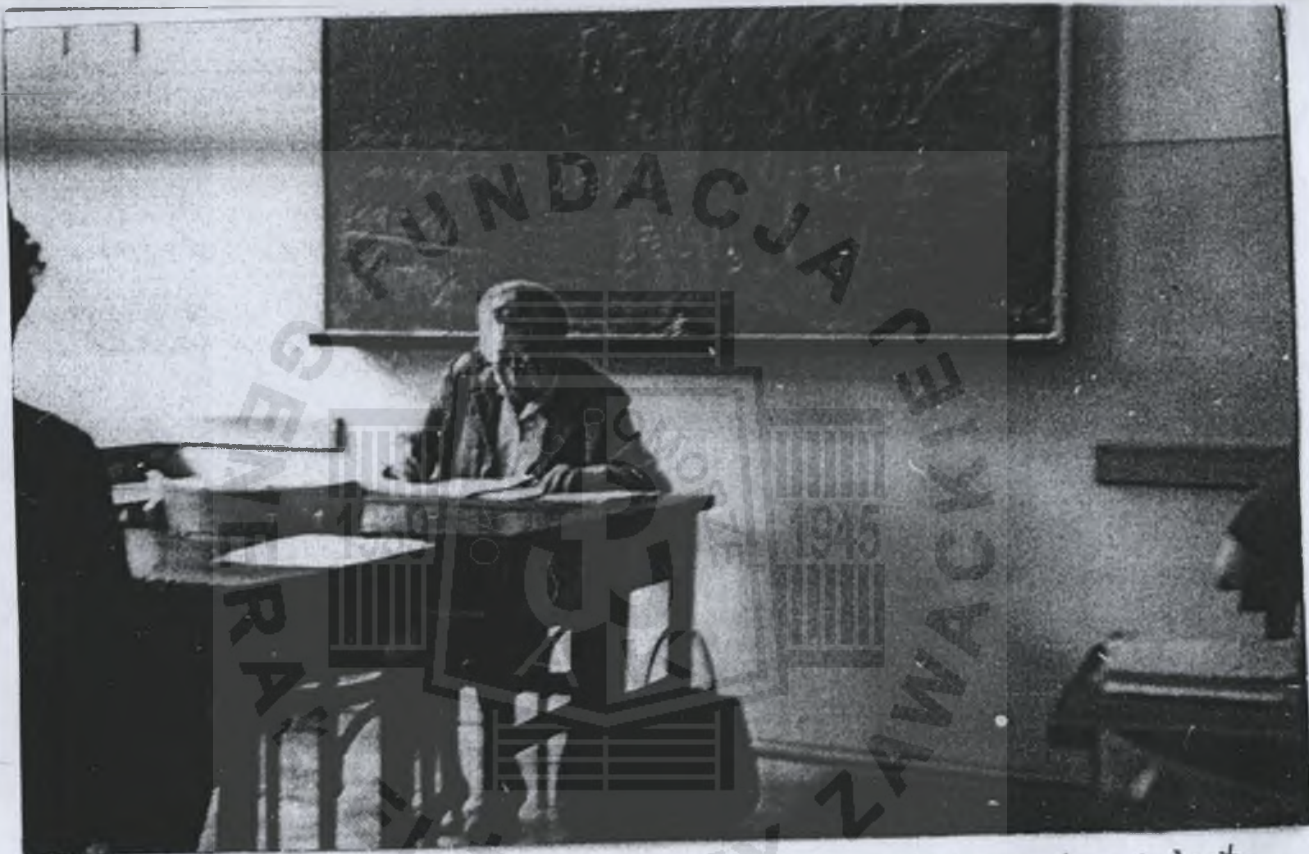
AK
W4v03

MICHAŁOWSKA Bronisława
z d. Strażyniska

VI. Fotografie

1. w klasie szkolnej - pny diwlan,
[b.d.j.] - kseno - str. 2
Późne lata czterdzieste lub początek
pięćdziesiątych.

Z. Świtaj, 2012v.

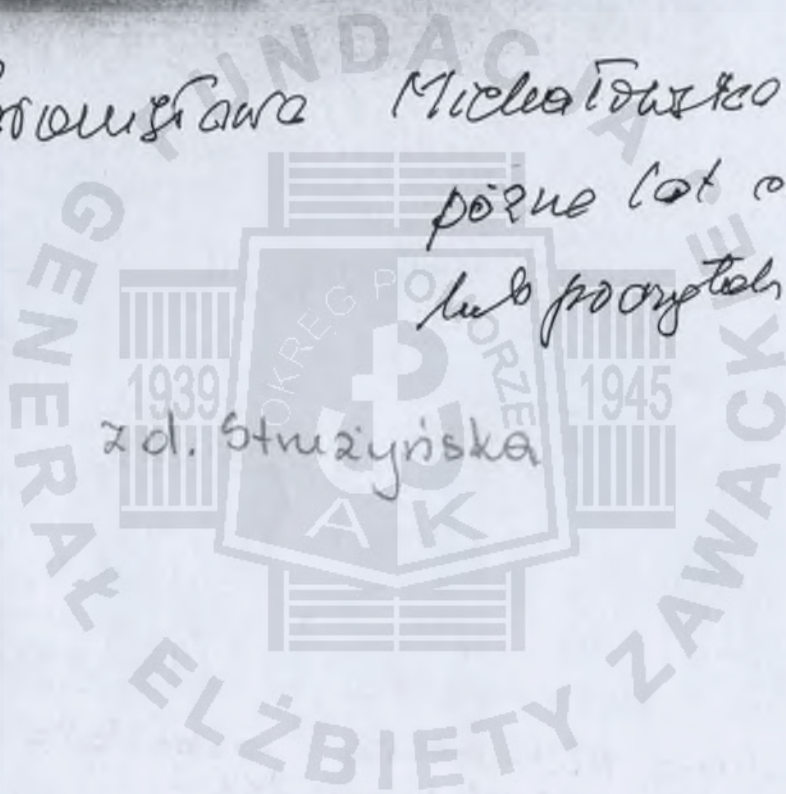


Bronisława Michałowska - poźne lata utrudnione
lub powrót pięćdziesiątych XX w.

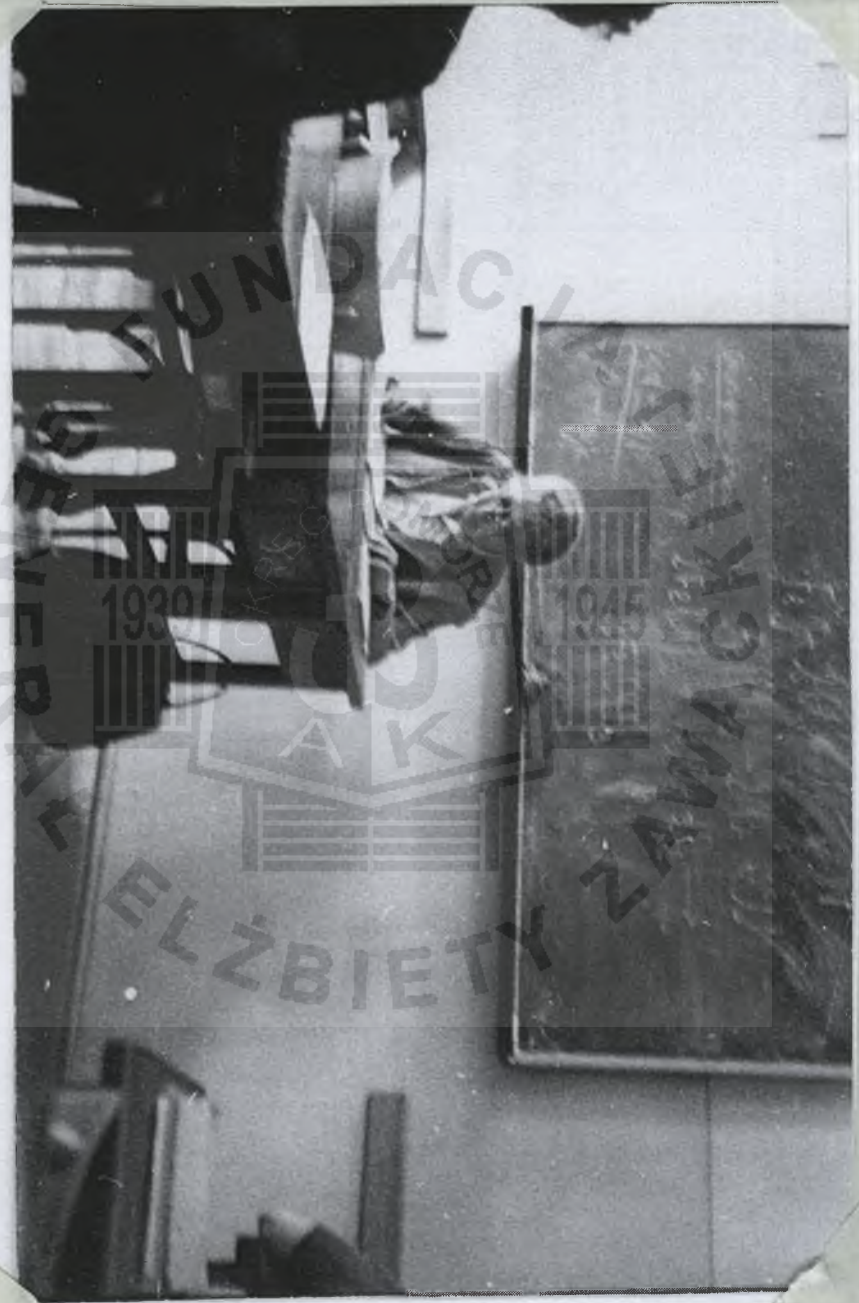
Bronisława Michałowska

pożne lat czterdzieści
lub prosiłach pociąg.

zd. Stuzyniska



m/2



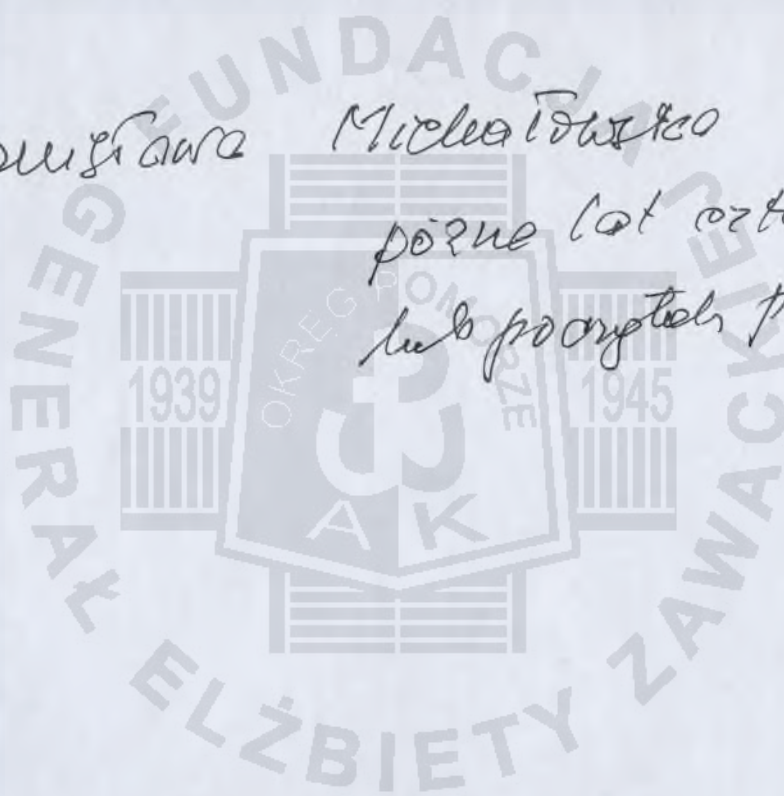
Bronisława Michałowska, późnie lata czterdziaste
wła powrótke pięćdziesiątych lat.



Browstawa

Miechówko

pozne lat czterdzieci
lub prosiłby przednie.



MICHAŁOWSKA Bronisława

